

**KS. JAN
KACZKOWSKI**

nieco
poważniej **niz zwykle**

**Grunt
pod
nogami**

Spis treści

Część pierwsza

1. Lek na lęk	11
2. Czasem trudno zrozumieć tę bliskość	23
3. Trzeba umieć przegrać	31
4. Warto się namęczyć	35
5. Programowanie trwania w łasce	41
6. Nie łammy sobie sumień	45
7. Jesteśmy biologią, jakoś się musimy zepsuć	53
8. Mięsień bliskości	67
9. Otuleni miłością	75
10. Niewierność jest przegraną	81
11. Obowiązki przed pobożnością	85
12. Nadzieja wbrew wszystkimu	89
13. Czas niepewności	95
14. Blask wolności	103
15. Cud pełzający	111
16. Przypadek nie przypadkiem	123
17. Cierpliwość wobec Boga	127
18. Sprawy niezałatwione	133
19. Darmo dawajcie	139
20. Zaufanie na zmywaku	143
21. Walka o lepszą wersję siebie	147
22. Unieść swoją wolność	151
23. Bóg jest czuły	161

Część druga

Rekolekcje z ks. Janem. Herod, Piłat, setnik i inni	169
Droga Krzyżowa	195
Spowiedź na krawędzi	213

Z drzeniem niepewności oddaję do Państwa rąk moje nieporadne wysiłki kaznodziejskie. W części nagrane, a w części spisane i przelane na papier. Zasadniczo zamykają się pomiędzy styczniem 2013 a lipcem 2015 roku. To czas mojej choroby. Nie pamiętam i nie jestem w stanie odtworzyć wcześniejszych. Trudno powiedzieć, czy były lepsze, czy gorsze. Proszę ocenić, czy widzą Państwo jakiś rozwój w okresie tych bez mała trzech lat.

Zawsze byłem przeciwnikiem wydawania kazań. Uważałem to za przejaw pychy. Jak widać, i w tym aspekcie życie zmusza mnie do rewizji poglądów.

Za wszelkie banały, oczywistości i powtórzenia przepaszam. Czym innym jest mówienie z ambony. O wiele trudniej przelać to na papier. Tym większe podziękowania dla Joanny Podsadeckiej, która te kazania przesłuchała, w pewnym sensie oczyściła i skompilowała. Wybraliśmy teksty, naszym zdaniem, najbardziej reprezentatywne.

Kazania zawsze mówię z głowy (mój ojciec zauważa: „To znaczy z niczego”). Ze względu na słaby wzrok, przygotowując się, nie piszę słowo w słowo, jak całość ma brzmieć. Jeżeli już, to na dużej kartce notuję wielkimi literami punkty w kolejności. Uczę się ich niemal na pamięć, żeby – gdy coś mnie rozproszy albo się zgubię – móc wrócić na właściwe tory (jestem mistrzem dygresji).

Kazania w większości są tzw. kazaniami zebraczymi wygłoszonymi w różnych kościołach w Polsce (w Starogardzie Gdańskim, Warszawie, Krakowie, Sopocie, Płocku, Gdyni i Legnicy) oraz za granicą (w Niemczech, Wielkiej Brytanii i Szwajcarii). Stąd powtarzany apel o wsparcie hospicjum. Tam, gdzie się dało, podczas redakcji robiliśmy wszystko, by go Państwu oszczędzić. Ponadto książka zawiera kilka moich puckich wystąpień, jedną turę rekolcji wraz z Drogą Krzyżową (odbyły się w marcu 2015 r. w Warszawie) i okazjonalną konferencję o spowiedzi (zostałem na nią zaproszony do Płocka). Czasem odnoszę się do bieżących wydarzeń, mam nadzieję, że nie będzie to Państwu przeszkadzało w lekturze.

Kiedy po raz kolejny została mi przeczytana całość, zwróciłem uwagę, że nadużywam sformułowania „proszę zwrócić uwagę”. W przyszłości proszę mnie pilnować i proszę zwrócić uwagę, czy się poprawiam.

Piszę te słowa podczas kolejnego życiowego wirażu, znów czekam na wyniki rezonansu... Proszę o modlitwę*.

Wasz Jan

* Oczywiście po łacinie. Wszyscy wiemy, że On w tym języku najlepiej rozumie. Polskiego ponoć dopiero się uczy. Czym jest 50 lat od Soboru w kontekście wieczności Boga...

1.

Lek na lęk

Dziękuję ci, mój raku,
że wyzwoliłeś mnie z wielu strachów.

Drodzy państwo!

W hospicjum, którego jestem szefem, mamy do czynienia z życiem kruchym, wątłym. Można powiedzieć – z gasnącym knotkiem i nadłamanym istnieniem, bo często przebywają u nas ludzie chorzy na nowotwory, w krańcowej fazie, a także cierpiący na inne ciężkie schorzenia geriatryczne.

Czy tego przytaczanego dziś fragmentu Pisma Świętego: „Nie złamie trzciny nadłamanej, nie zagasi knotka o nikłym płomyku”, nie można zinterpretować jako zakazu eutanazji? Powiecie, że znowu prowokuję.

W tym roku zbiegły się dwie zbiórki: na puckie hospicjum i na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, którą kieruje pan Jurek Owsiak. To nie było planowane. Co roku staram się nie mówić kazań, kiedy on ze swoją orkiestrą gra. Robię to często wbrew duchowieństwu, które go nie popiera. Uważam, że nie mamy monopolu na dobro. Naprawdę nie ma powodu, by sabotować akcję, która przynosi nam tyle pożytku. „Po owocach ich poznacie” – mówi Pismo Święte. Na jakikolwiek oddział szpitalny dziecięcy czy geriatryczny wejść, łącznie z naszym hospicjum, widzę sprzęt oznaczony serduszkami. Skala tego przedsięwzięcia jest powalająca.

Nie będę polemizował agresywnie z panem Owsakiem, bo go cenię i lubię. Jego niedawną wypowiedź na temat eutanazji uznaję za niefortunną. Sądzę, że mówiąc o „pomocy starszym w cierpieniach”, miał dobre intencje. Pewnie chodziło mu o odstąpienie od terapii uporczywej. Może dobrze się stało, że rozgorzała wokół tego dyskusja? Może

ona pomoże nam zrozumieć, dlaczego Kościół tak zdecydowanie mówi eutanazji „nie!”. Mówi „nie!” takiemu działaniu, które zmierza do usunięcia człowieka tylko dlatego, że jest chory, albo tylko dlatego, że jest nieprzytomny. Kościół uważa, że nie można utracić prawa do życia. Nawet najbardziej cierpiący czy – jak mówią niektórzy – najbardziej odczłowieczony przez cierpienie człowiek nie przestaje być osobą. Nie można utracić godności osoby. To by wywróciło do góry nogami całą antropologię. Przytomni i sprawni będą predestynowani do tego, żeby dalej być ludźmi, a słabsi tę możliwość utracą, będą nazywani, już są nazywani „roślinkami”. Mówi się o nich, że wegetują, że są „byłymi organizmami ludzkimi”. To nieprawda, nie można być byłym człowiekiem, spaść na drabinie rozwoju do punktu bycia zwierzęciem lub rośliną. Jeżeli tego nie przyznamy, to dopracujemy się czegoś potwornego, będziemy się chcieli pozbyć balastu, który nas obciąża mentalnie i – nie daj, Panie Boże – finansowo.

Jeszcze machasz nogą, zarabiasz na sobie, gadasz, to znaczy, że jeszcze jesteś człowiekiem. Nie da się być byłym człowiekiem, dokładnie tak samo, jak się nie da być podczłowiekiem. Wiedzą państwo przecież, czym to pachnie. Dopracowalibyśmy się społeczeństwa czystych, zarabiających, pięknych i tych, którzy spełniają kryteria.

Gdybyśmy się zgodzili na eutanazję, tobyśmy się zgodzili na to, by medycyna przestała służyć człowiekowi, zaczęła go oceniać pod względem jakości, patrzeć na niego z punktu widzenia jego przydatności albo szkodliwości dla społeczeństwa.

Kolejna rzecz: niezgoda na degradację medycyny. Medycyna ma człowieka leczyć, a nie zabijać. Jeżeli zgodzimy się na usuwanie tych, którzy bardzo cierpią fizycznie lub psychicznie – także za ich zgodą – to medycyna zaprzeczy sama sobie. Tą samą ręką będzie leczyć i unicestwiać, korzystając z tej samej wiedzy medycznej. Żadnej misji, tylko odpowiedź na zamówienie. Ponadto będzie się samodegradować. Przestanie szukać sposobów radzenia sobie z bólem, bo skoro usuwamy tych, których bardzo boli, to nie ma przestrzeni dla nowych leków, nowych badań, nowych rozwiązań. Jeszcze dwadzieścia lat temu choroba nowotworowa wiązała się z nieuchronnym bólem, a obecnie jesteśmy w stanie kontrolować ponad 95 procent trudnych do zniesienia objawów.

Dla przeciwwagi zdecydowanie należy sprzeciwić się wszelkiej uporczywości terapeutycznej.

Proszę sobie wyobrazić pacjenta, który ma rozsiały nowotwór. Jasne, że za pomocą różnej aparatury potrafimy utrzymywać go przy życiu kolejny dzień, tydzień, multiplikując w sposób niewyobrażalny cierpienie. Zawsze jednak trzeba zapytać: „po co?”. Czy to życie w jego czy każdym innym przypadku ma sens?

Kościół nie walczy ze śmiercią, bo wierzy, że wraz z nią nie kończy się wszystko. Dlatego należy bezwzględnie odstąpić lub wycofać się z terapii uporczywej, która jest zawsze zakazana moralnie. Nigdy jednak nie można odstąpić od terapii paliatywnej, czyli od zwykłej opieki. Pacjent nie może umrzeć z bólu, głodu, pragnienia, nie możemy pozwolić mu się świadomie udusić.

Są jednak sytuacje ekstremalne, kiedy na przykład istnieje perforacja jelit i pokarm szkodzi, bo wylewa się do otrzewnej. Wówczas nie wolno podać jedzenia i to nie będzie zbrodnia.

Jeżeli kroplówki nie służą pacjentowi, którego nogi są bardzo spuchnięte, a płuca pełne wody, musimy zrezygnować z dożylnego podawania płynów. Jeśli ból jest tak ogromny, że jedynym sposobem walki z nim jest podawanie coraz większej dawki leków, nawet przy założeniu, że to może doprowadzić do wcześniejszego zgonu, mamy prawo je podać. Robimy to nie po to, żeby pacjenta zabić, ale po to, by go nie bolało i żeby mu się łatwiej oddychało. Intencja, z jaką podajemy leki, się liczy. Proszę zobaczyć, jaka to jest cienka granica. Gdybyśmy specjalnie podali ich więcej, żeby człowieka zabić, byłibyśmy winni eutanazji. Ale jeżeli mamy intencję, by pomóc, a śmierć pojawia się jako skutek przez nas niechciany, jedynie tolerowany i przyjmowany do wiadomości, to jest to moralnie poprawne. Wszystko dzieje się na poziomie naszej głowy i naszego sumienia.

Wypowiadając słowa przysięgi Hipokratesa, która obowiązywała do drugiej wojny światowej, lekarze deklarowali, że będą służyli człowiekowi, czyli jednostce. W 1948 roku zmodyfikowano tę przysięgę o jedno słowo. W miejsce „człowieka” pojawiła się „ludzkość”. Wydaje się, że nic się nie zmieniło, ale ilu tyranów chciało służyć ludzkości, na przykład eliminując niepełnosprawnych, Żydów albo inne grupy społeczne... Hitler i Stalin mordowali miliony w imię dobra ludzkości. Trzeba się wsłuchiwać także w to, co mówią przepisy prawa.

Jak ktoś mi mówi, że dla dobra narodu trzeba poświęcić jednostkę, to ja cały chodzę. Jak mi ktoś wmawia, że pewni ludzie są mniej wartościowi, jak katolik przyznaje, że jest antysemitą albo rasistą, to we mnie się wszystko burzy. Katolik nie może być anty drugim człowiekiem, zwłaszcza kiedy ten drugi jest słaby, chory. Im bardziej ktoś jest inny, im bardziej ktoś jest dziwny, tym bardziej ma twarz Chrystusa. Bywają tacy, którzy nawet katolicyzm uzasadniają swoim antysemityzmem. A przecież skoro Chrystus był Żydem, skoro Matka Najświętsza była Żydówką, to Żydzi są naszymi braćmi, których powinniśmy szanować i kochać. Oczywiście, że zdarzają się wśród jednych i drugich lepsi, a także gorsi ludzie, ale granica nie przebiega pomiędzy rasami i narodami, ale pomiędzy sumieniami, a czasem pośrodku sumień.

Kościół absolutnie nie jest za tym, żeby cierpiący w ostatniej fazie choroby był podtrzymywany przy życiu za wszelką cenę. Kościół nie walczy ze śmiercią tak, żeby nie pozwolić jej nadejść, czyli podłączać umierających do wszystkich możliwych maszyn. Dlatego jestem za „testamentem życia”. Nie wszystko, co technicznie możliwe, jest godziwe etycznie. Eutanazja – nie, odstępianie od terapii – tak, „testament życia” – tak, by każdy mógł w nim wyrazić swoją wolę dotyczącą tego, na jakie procedury medyczne pod koniec życia się zgadza, a na jakie nie. Mam nadzieję, że to zagadnienie doczeka się poważnej dyskusji w parlamencie. Chciałbym, żeby posłowie, szczególnie ci z prawej strony, nie wrzeszczeli, że jest to wprowadzanie eutanazji tylnymi drzwiami, bo to nieprawda. „Testament życia” jest wypełnianiem woli pacjenta. Śmiertelny zastrzyk to

byłaby eutanazja, ale odstąpienie np. od dializy, na jakie zdecydował się Jan Paweł II – nie.

Więc jeżeli to pan Owsiak miał na myśli, to się z nim zgadzam. Ja – dyrektor hospicjum chorujący na nowotwór. Mam glejaka mózgu (czwartego stopnia). Już gorzej wylosować się nie dało. Gorzej rokuje chyba tylko nowotwór trzustki. Glejaka wykryto u mnie 1 czerwca 2012 roku, dano mi najpierw sześć miesięcy życia, potem czternaście. Nie chcę być jak brazylijski wyciskacz łez... Może powiem tylko, że gdy się o tym dowiedziałem, byłem wściekły. Oczywiście, poddałem się dwóm operacjom, chemioterapii. Wycięto mi tego guza prawie w całości. Prawie, bo glejaka nie da się w całości wyciąć, ponieważ odnózkami wrasta w mózg.

I teraz pytanie, Janie, do ciebie, cwaniaczk. Teoretycznie łatwo ci mówić o chorowaniu. Ale jak się teraz wobec tego ustawisz? Czy będziesz panikował? Czy będziesz szalał? Kurczowo trzymał się życia? Robił sceny? Bał się? Jasne, że się boję. Ewangelia stawia przede mną wyzwanie, bo „wszyscy snuli domysły w sercach co do Jana”. No właśnie, jak on przez to przejdzie? Trzeba nauczyć się przeżyć godnie własną śmierć. I tego nie mówię do was, lecz do siebie. Przeżyć godnie własną śmierć. Jak to zrobić? Mam dwie opcje – albo kurczowo trzymać się życia i tak naprawdę zachować się niegodnie, albo żyć aktywnie, nawet za cenę skrócenia życia, ale tak, jak chcę i jak należy. Wybieram tę drugą opcję.

Dzisiaj mówię kazania cały dzień, za tydzień znów będę mówił cały dzień, podobnie będzie za dwa tygodnie. To jest mój świadomy wybór. Nawet jeśli ta aktywność skróci moje życie o miesiąc, dwa, to tak chcę, wybieram to.

Wtedy, kiedy będę już odchodził (wszystko jedno, czy w domu, czy w moim hospicjum, czy gdziekolwiek indziej, gdzie mnie ta śmierć zastanie), gdy będzie już ze mną bardzo źle, chciałbym, żeby podano mi leki sedatywne. Nie boję się bólu, bo wiem, że da się go kontrolować, ale boję się nieporadności, tego, że będę się zachowywał nielogicznie – rano jeszcze coś kojarzył, mówił z sensem, a wieczorem mózg mi spuchnie i będę pluł kaszką. Właśnie dlatego chciałbym, żeby wtedy podano mi takie leki, po których będę spał i mógł odejść spokojnie, we śnie, na własnym oddechu, bez żadnego respiratora.

Własnej śmierci nie da się schrząnić, że tak powiem. Nie zdarzyło się, by ktoś nieskutecznie umarł. Ale da się, niestety, schrząnić to wszystko, co jest wokół śmierci. Czyli muszę najbliższych przez moją śmierć przenieść, niestety na własnych plecach. Już ich do tego przygotowuję. Mam nadzieję, że to mi się uda. Mam do was tylko jedną prośbę: żebyście mnie nie żalowali, w tym sensie, byście się nade mną nie litowali. Proszę o modlitwę. Dużo modlitwy czuję w kręgosłupie, wielu ludzi się za mnie modli. Ale naprawdę ciężkie jest takie pocieszenie: „na pewno ksiądz da radę”. Nie wiem, czy dam radę. Będę się starał.

Umówiłem się z moją panią doktor, że przeżyję dane mi po postawieniu diagnozy czternaście miesięcy, może trochę dłużej, a ona na mnie zrobi habilitację jako na człowieku, który zaprzeczył medycynie.

Jakie mam jeszcze marzenia? Dokończyć habilitację i skrypt dla lekarzy o przekazywaniu trudnych wiadomości pacjentom. Pojechać do jakiegoś ciepłego kraju, wygrzać

się na plaży, wykąpać. Ale moim największym marzeniem jest to, żeby nie padło hospicjum w Pucku. To jest moje dzieło, poświęciłem mu dziesięć lat życia. Muszę zrobić wszystko, żeby je zabezpieczyć.

Drodzy państwo, teraz pojawia się pasek „audycja zawiera lokowanie produktu”, następuje przerwa na reklamę. Jeśli chcecie mi pomóc, to – poza modlitwą – możecie to zrobić, wspierając Puckie Hospicjum pw. św. Ojca Pio poprzez wrzucenie pieniędzy do puszki przed kościołem albo przekazanie jednego procenta podatku.

Dziesięć lat mojej pracy w Pucku to właściwie hospicjum. Boję się, że kiedy zabraknie mi sił i możliwości mówienia kazań, to ono będzie zagrożone. Gdybym mógł was jeszcze prosić o jedno... Na przykład, gdybyście na waszych kontach pod koniec miesiąca mogli zrobić zlecenie stałe na przekazywanie choćby dziesięciu złotych na rzecz hospicjum, nie poczulibyście tego w portfelu. Jeśli zleceń będzie kilka czy kilkanaście, to będziemy wiedzieć, że jesteście z nami. Obiecuję, że będę się za was modlił. I jeżeli cegokolwiek będziecie ode mnie potrzebować: czy modlitwy, czy wsparcia, czy dobrego słowa, to jestem dla was dostępny. Zostawiam wszystkie namiary na mnie.

Nie użalajcie się nade mną, że taki młody i taki biedny. Nie jestem aż taki biedny, w jakimś sensie jestem szczęśliwy, że ta choroba przyszła, bo ona mnie wyzwoliła z lęku. Miałem mnóstwo kompleksów, bałem się rzeczy głupich, irracjonalnych, byłem pyszny. Ona mnie z tego wyleczyła. Bałem się, że kuria mnie przeniesie z Pucka gdzie indziej. No i co z tego? Wszędzie są dusze nieśmiertelne.

A ostatecznie rak mnie przeniesie w zaświaty. Już się niczego nie boję. Biskupa i przełożonych wcale nie trzeba się bać, podobnie jak krytyki, jakichś ataków. Jestem wolny. Dziękuję ci, mój raku, że wyzwoliłeś mnie z wielu strachów.

Wy też się nie bójcie. Życie jest tak nieprzewidywalne! Za chwilę może się zdarzyć coś, co natychmiast rozwiąże wasze problemy.

Trzeba się przygotować do śmierci. Byle godnie i byle sprawnie. Błagam, módlcie się o to, żebym się gdzieś nie zhańbił i żebym żył przyzwoicie, czego i wam życzę. Pomagajmy sobie na każdym kroku. Amen.

2.

Czasem trudno zrozumieć tę bliskość

Nie czekaj na cierpienie,
które ci uporządkuje życie.

Kochani!

W pierwszym czytaniu słyszeliśmy dziś o sprawiedliwości, która będzie krzyczeć do Boga. Zatem ja dzisiaj krzyczę, ponieważ kilka dni temu do hospicjum, którego jestem szefem, przywieziono w stanie prawie agonalnym 36-letnią matkę dwojga młodych ludzi. Czy to jest sprawiedliwe? Na pewno nie. Czasem mam ochotę wrzeszczeć: Boże, gdzie jest Twoja sprawiedliwość? Staralem się żyć uczciwie, a tu taki guz, który wrasta w mój mózg i go powoli zżera. Żeby się go na stałe pozbyć, należałoby usunąć cały mózg. To byłoby raczej mało komfortowe.

Boże, dlaczego jesteś taki niesprawiedliwy? Czasami ludzie pytają mnie: „Dlaczego Pan Bóg zesłał na księdza takie cierpienie?”. Tak nie wolno myśleć. Bóg nie jest paskudnym dziadem siedzącym na chmurze, który nas nie lubi, więc rozdaje cierpienia i rozmaite przeciwności. On nas kocha w chwili naszego powodzenia, ale szczególnie blisko jest w momencie nieszczęścia. Nie opuszcza swoich dzieci. Fakt – czasem trudno zrozumieć tę bliskość.

Kiedy spada na nas jakieś niezasłużone cierpienie i wydaje się nam, że Pan Bóg nas zostawił, mimo szalejących emocji należy zrobić matematyczne założenie, że On z nami jest i kocha nas bardzo odpowiedzialną miłością. Bez względu na to, czy nam się życie wali czy nie. Bóg jest stały, niezmienny, wierny. To my bywamy niewierni. Rozumowo to założenie jesteśmy w stanie przyjąć, emocjonalnie trudniej. Ale musimy to sobie powtarzać, bo inaczej przestaniemy Mu ufać i zwariujemy.

Skąd się biorą choroby? Są wynikiem biologii i przypadku. Wypadki są wynikiem przypadku – ktoś za szybko jechał, znalazł się w nieodpowiednim miejscu i czasie. Niektóre zdarzenia są wynikiem naszej wolnej woli. Pan Bóg nam jej nie może zabrać. Chcieliśmy się oparzyć, to się oparzyliśmy. Chcieliśmy popełnić błąd, to go popełniliśmy i ponosimy tego konsekwencje. Paliliśmy fajki, mieszkaliśmy w domu z azbestem, no to mamy raka. Pytanie, dlaczego Pan Bóg nie interweniował, byłoby głupie, bo to On stworzył biologię z jej prawami. Gdyby codziennie ingerował w te prawa, także te związane z powstawaniem nowotworów, które czasem organizm zaczyna traktować przez pomyłkę jak najlepszych gości, to zachowywałby się nielogicznie.

Dlaczego Bóg nie przedstawia tych naszych przypadków? Po pierwsze, żeby nas nie pozbawić wolnej woli, a po drugie dlatego, że On ma zupełnie inne spojrzenie. My widzimy wszystko w zamkniętym, krótkim odcinku naszego życia, maksymalnie dziewięćdziesięciu lat, może stu, a On jest ponad tym pudełkiem czasu. Czasoprzestrzeń się rozszerza, a Bóg jest ponad tym. Widzi wszystko – od Wielkiego Wybuchu albo innego początku świata, aż po sam jego koniec z powtórным przyjściem Chrystusa. Dla Niego to wszystko, co się dzieje, jest bardzo logiczne. Kiedy się przecisniemy na tamtą stronę (a to przeciskanie się nazywamy śmiercią), prawdopodobnie będziemy widzieli wszystko z Bożej perspektywy.

Bardzo lubię porównanie śmierci do narodzin. Dziecko przeciska się i boi, kiedy się rodzi. Ten wrzask po

porodzie wcale nie jest radosny, tylko pełen przerażenia, bo znało brzuch matki i nagle to przyjazne środowisko zaczęło go wypychać w zimną, nieznaną przestrzeń. Ale gdy się człowiek przywita z tym światem, już nie chce wracać do brzucha matki. Być może podobnie jest ze śmiercią. Pewnie sam proces odchodzenia jest nieprzyjemny, ale później mamy przerastającą nasze wyobrażenia rzeczywistość. Taką, która nas przekracza – wspaniałą, kiedy jesteśmy zbawieni; pełną tęsknoty, kiedy oczekujemy w czyścicu, i pełną przerażenia oraz nienawiści, kiedy jesteśmy potępieni. Mam nadzieję, że piekło nie jest wybrukowane głowami księży i zakonnic, jak mówi popularne przysłowie...

Wiecie, nowotwór pomógł mi uporządkować swoje życie – wyzwolił mnie z lęku, z kompleksów. Już nikt mi nic nie może zrobić. Jestem zupełnie wolnym człowiekiem.

Nie życząc wam żadnego nieszczęścia, namawiam was do tego, żebyście nie tkwili w sytuacjach, które was mocno męczą.

Opowiem wam o moim znajomym, którego nie za bardzo lubię. Jest nim przyjaciel mojego ojca z liceum. Całe życie musiałem do niego mówić „wujku”. Był sknerą i żył nie po katolicku. Zawsze mnie poniżał. Nawet nie odwiedził w chorobie, kiedy był blisko. To wszystko mnie bardzo bolało. Zdobyłem się na odwagę, wziąłem głęboki oddech i powiedziałem, że nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Nie po to, żeby mu robić przykrość, ale żeby sobie uporządkować relację. Zrobiłem porządek też z innymi: z niektórymi ludźmi mam stały kontakt, z innymi ograniczony,

a z jeszcze innymi nie kontaktuję się w ogóle. Jest prawdą, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie.

Gdybyście, kochani, przez lata tkwili w jakichś krzywych sytuacjach, toksycznych związkach – mąż pijak awanturuje się i co wieczór cię bije, a ty jesteś współuzależniona i boisz się zrobić ruch, choć dzieci są już dawno odchowane, nie bój się być odważna i wyrzucić męża pijaka z domu. To jest obowiązek moralny chronienia własnego życia. Małżeństwo jest ogromną wartością, przysięga także, ale nie wtedy, kiedy staje się zagrożeniem psychicznym lub fizycznym dla nas lub naszych dzieci.

Nie trzeba od razu z takiej wysokiej półki... Jeżeli ktoś tkwi w przyjacielskim, toksycznym związku, czuje się wykorzystany, to trzeba tę relację albo naprawić, albo zerwać. Jeśli w pracy zmuszają cię do nieuczciwości, do brania łapówek, jeśli tkwisz w jakiejś obiektywnie złej sytuacji, to nie czekaj na cierpienie, które ci uporządkuje życie, na to, że ci ukradną samochód albo złamiesz nogę i będziesz miał dwa tygodnie na przemyślenie w szpitalu. Dokonaj zmiany swojego życia dzisiaj. Obiecuję, to ci bardzo pomoże. Amen.

PS

Po wielu miesiącach sytuacja uległa zmianie w wyniku wyrzutów sumienia.

Powyższe kazanie wygłosiłem w okresie bardzo emocjonalnym. Wtedy takie postępowanie wydawało mi się uzasadnione. Nie dojrzałem jeszcze do wiedzy, że ciężka i nieuleczalna choroba nie daje nam jakichś wyjątkowych praw. Zwłaszcza do moralnej oceny innych. Nie pozwalała

nam ich ranić, nie zwalnia z powinności etycznych, choćby bycia przyzwoitymi.

Ostatecznie, przez długie miesiące mierząc się z sytuacją, postanowiłem wuja przeprosić, przebaczyłem i poprosiłem o przebaczenie.